

Resocjalizacja nieletnich - orka na ugorze (?)

Powinno się zacząć od definicji. Oto ona:

resocjalizacja = proces wtórnej socjalizacji (ponownego nabywania umiejętności pełnienia ról społecznych); ogół zabiegów pedagogicznych i terapeutycznych (psychokorekcyjnych) zmierzających do przywrócenia jednostkom społecznie niedostosowanym prawidłowego kontaktu ze społeczeństwem; polega na przyswojeniu jednostce społecznie akceptowanych sposobów realizacji własnych potrzeb, ukształtowaniu w niej zdolności i gotowości do pełnienia - zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami - właściwych jej ról społecznych.

(na podstawie hasła z encyklopedii PWN)

Z moich dotychczasowych, dwudziestoletnich, doświadczeń wynika, iż resocjalizacja - a i wszelkie wychowanie - opiera się na psychicznej regule, którą opiszę tak:

*Każde dziecko uczyć się życia, ucząc się w szkole, starając się „być dobrym” -
- czyni to dla kogoś*

„Bycie dobrym” - jako dziecko, jako uczeń, jako człowiek - może stać się wartością samą w sobie dopiero ze wzrostem samoświadomości, jaki dokonuje się gdzieś blisko okresu dojrzewania. Póki to się nie stanie, rolę prowadzącej samoświadomości-przewodniczki musi spełniać człowiek dorosły.

Ten fakt ujawnia się nie tyle w przyjmowaniu takiej roli przez dorosłych, ile w stałym potwierdzaniu jej poprzez potrzeby dzieci. Dzieje się to nawet czasem wbrew poczuciu sprawiedliwości i logiki u dorosłych moralistów, gdy dziecko akceptuje swą matkę alkoholicką. Dzieje się to - jakby na potwierdzenie dziecięcej naiwności - gdy wiara w dorosłego nie pozwala widzieć kręactw, dwulicowości, chęci wykorzystania, czy wręcz okrucieństwa. Dopiero dojrzewanie odziera wizję ludzi dorosłych - spostrzeganych przecież jako pewien odrębny zbiór - z kolorowych i przyjaznych oku przybrań.

Zresztą... wielu młodych ludzi nabiera, zupełnie słusznie, przekonania, że wszystkiego złego nauczyli się od świata ludzi dorosłych. Tyle, że świat ów stawia jednocześnie wymagania wprost przeciwne. Tu właśnie ukryta jest perfidia losu. **Umiejętność ominięcia tej pułapki daje możliwość bycia człowiekiem dostosowanym społecznie.** Albo możliwość bycia inteligentnym cwaniakiem i obłudnikiem.

Nic dziwnego, że nie ma w zasadzie niedostosowanych społecznie przedszkolaków, ale mówi się o młodzieży niedostosowanej. Są to przecież młodzi ludzie o budzącej się samoświadomości, już skaleczonej lub właśnie się kaleczącej.

Nie jestem utopistą. Wiem, że społeczność ludzi dorosłych nigdy nie dozna nagłego olśnienia i nigdy nie poprawi bytu ludzkości jednym podjęciem światłej decyzji. Wobec tego muszą istnieć

ludzie, którzy stale będą krążyć po świecie z igłą i nicią, i będą łątać dziury uczynione przez innych; będą krążyć z miotłą i szufelką i zamiatać, zamiatać.

Jestem optymistą. Oczekuję takiej postawy po tych, którzy wybrali zawód cerowaczy ludzkich osobowości i zamiataczy ludzkich losów. Optymistą jestem umiarkowanym. Wszak tyle lat przyglądam się pedagogom, nauczycielom, wychowawcom. To przecież oni dokonali - świadomego, zda się - wyboru, by zostać człowiekiem, którego misją jest nieść nauki kaganek i cudze dzieci uczyć. W zasadzie powinni wiedzieć co czynią. W zasadzie powinni wiedzieć jakiej sprawie służą. I właśnie słowa „w zasadzie powinni wiedzieć” czynią mój optymizm umiarkowanym.

Oni też tworzą skondensowaną porcję mieszaniny dobra i zła. W niej zamknięta jest cała istota dorosłości i w postaci pigułki podawana codziennie, regularnie. Proponowałbym dokonanie rozpoznania w tej materii za pośrednictwem niewielkiej, anonimowej ankiety. Niech pytania spenetrują dwa bieguny zjawiska, które nazwałem już na początku **byciem kimś** dla podopiecznego.

Uczniowie powinni w ankiecie wypowiedzieć się czy, i jak wielu (w stosunku do ogólnej liczby), nauczycieli w ich szkole jest dla nich rzeczywistym, dużym autorytetem. Ilu nauczycieli ma, ich zdaniem, jakikolwiek wpływ na uczniów. Powinni dać odpowiedź na temat nauczycieli nie mających poważania. Wypowiedzi mogłyby być rozszerzone o refleksje na temat autorytetu nauczycieli i ich możliwości sprawczych.

Nie proponuję takiej ankiety, gdyż spodziewam się, że byłaby niewypałem. Przyczyna jest prosta. Nauczyciele nie dopuściliby do tego, żeby uczniowie mogli wypowiadać się na ich temat. Tkwi to w naturze nauczycielstwa jako takiego, w nawyku wykładania o wszelkich wartościach, a nie ich przyjmowaniu, w dodatku od maluczkich. Do tego nauczyciele w dużej swej części czują się niepewnie w pełnionej roli. Zdają sobie sprawę, że ich władza jest bardzo ograniczona, bo wypływa jedynie z formalnych przesłanek. Status ekonomiczny nauczycieli deprymuje ich dodatkowo. Gdyby nawet chcieli o coś walczyć (o pozycję, o autorytet), to i tak im się to nie opłaca. Wygodniej jest po prostu przychodzić do pracy, a potem z niej wychodzić. I nie jest to wyłącznie wina - to jest mechanizm obronny.

A przecież nie sposób podważyć stwierdzenia, że każdy człowiek jest skłonny (lub jest zdolny) by przejąć nowe wartości od kogoś, kto spostrzegany jest jako pozytywny wzorzec do naśladowania. Trudno przypuszczać, by ktokolwiek z nas przyjmował styl myślenia albo zachowania osoby, którą na przykład pogardza. Zatem należałoby uznać za sprzeczność i bezsens to, ktoś czyni starania, aby przekazać komuś drugiemu jakieś wartości, ale zaniedbuje przy tym sprawę własnej skuteczności. Skuteczność wszak zależy od tego, czy osoba przekazująca jest wiarygodna. Czy jest akceptowana. Czy jest autorytetem. Czy jest **kimś**.

Nauczycielstwo w dużej części jakby nie podlegało tym regułom.

Kiedy już się zostaje nauczycielem, otrzymuje się automatycznie glejt Autorytetu Jedynego i nie ma potrzeby sprawdzania się i potwierdzania swych możliwości. Czemu? Bo głównymi jurorami są dzieci.

Poglądy Autorytetu Jedynego są nienaruszalne:

- pkt. 1 - dziecko to gówniarz
- pkt. 2 - dziecko to gówniarz
- pkt. 3 - dziecko to gówniarz
- pkt. 4 - ktoś pyta gówniarza o zdanie?

Do tego są jeszcze punkty rozszerzające. Wnoszą one brak zaufania („*Komu będziesz wierzył - główniarzowi, czy drugiemu nauczycielowi?*”), obrażanie („*Jesteś głupim szczeniakiem i nie masz nic do gadania!*”), lekceważenie („*A co mnie oni obchodzą!*”), niedotrzymywanie słowa („*Może tak i mówiłem, ale to było kiedyś*”), traktowanie przedmiotowe („*I co z tego, że dotąd chodziliście rok do klasy ślusarskiej? Teraz będziesz chodził do stolarskiej!*”).

Wiem, że narażam się kolegom-pedagogom, ale nie zamierzam ukrywać, że nader często bywam świadkiem podobnego wyrażania swych poglądów. Jeśli nawet przebija (u niektórych z opisywanych nauczycieli) troska o ucznia, zwykle okazuje się ona później troską o samego siebie.

Obserwuję między innymi następujące karcące zachowania nauczycieli:

- karcenie w taki sposób, by wyładować złość
- karcenie w taki sposób, by uczeń dobrze odczuł (nie zaś, by zrozumiał)
- karcenie w taki sposób, by ucznia sponiewierać i pokazać mu, kto tu rządzi
- karcenie w taki sposób, by patrzący kolega-nauczyciel dostrzegł artyzm karcącego
- karcenie w taki sposób, by patrzący uczniowie poczuli strach
- karcenie w taki sposób, by zaimponować patrzącym uczniom
- karcenie w taki sposób, by patrzący uczniowie popierali karcącego z powodu satysfakcji, że to nie ich dotknęło, ale kogo innego
- karcenie w taki sposób, by ukarać tego, którego można karać bezpiecznie - potulnego
- karcenie w taki sposób, by... nie karcić, jeśli to może być potem w jakiś sposób nieprzyjemne dla karcącego (patrz punkt wyżej)
- itp.

Podobne klasyfikacje można przeprowadzić w odniesieniu do czynności wypytywania (nie: odpytywania na lekcji), bowiem pytać można na różne sposoby:

- pytanie w celu zdobycia informacji (bez emocji)
- pytanie zdradzające „zapotrzebowanie” pytającego
- pytanie ironiczne
- pytanie z niedowierzaniem
- pytanie lekceważące
- pytanie sugerujące
- pytanie stwierdzające
- pytanie agresywne
- pytanie retoryczne
- itp.

Polecenia można również wydawać na wiele sposobów:

- polecenie proszące
- polecenie instruujące
- polecenie rozkazujące
- polecenie zastraszające
- polecenie celowo wprowadzające w zakłopotanie
- polecenie niemożliwe do wykonania (również celowo)
- polecenie poniżające
- itp.

Przypomnę: *Każde dziecko uczyć się życia, uczyć się w szkole, starając się „być dobrym” - czyni to dla kogoś.* Dziecko czyni to dla mamy i taty, dla pani w szkole, dla przyłatannej ciotki, dla ulubionego sąsiada, dla drużynowego. Czy w przypadku Autorytetu Jedynego będzie można mówić, że dla tego nauczyciela uczeń będzie się starał?

Wśród Autorytetów Jedynych panuje przekonanie, że cała resocjalizacja jest orką na ugorze. Być może taki pogląd pozwala Autorytetom na beczynność oraz tłumaczenie swych niepowodzeń pedagogicznych.

Przeżywałem w zawodzie pedagoga wiele rozczarowań i kryzysów. Bywały chwile, że pojęcie „orki na ugorze” stawało się dla mnie bliskie i zrozumiałe. Przeważnie jednak dominowały u mnie myśli pozytywne. Brały się one nie tyle z minimalnych wymagań życiowych - jakby mogło się wydawać - ale z tej części realistycznego patrzenia na świat. Zorientowałem się w miarę szybko, że nie jestem w stanie doprowadzić do dużej ilości zmian, ani nie wpłynę na ich rozmiary, ani nie poddam im wszystkich swoich wychowanków. Krótko mówiąc: nie mam takich możliwości wpływania na rzeczywistość, jakbym chciał. Jednocześnie stwierdzałem z wciąż rosnącą satysfakcją, że co jakiś czas pojawiał się ten specjalny wychowanek. W jakimś momencie odczuwał on więź łączącą go ze mną i od tej chwili chciał być dobry **dla kogoś**.

Tu pojawiało się dodatkowo zjawisko, które wielu pedagogów zniechęca. Moi koledzy, których praca wychowawcza była zawsze ich pasją, sygnalizowali, że doświadczali go i że jest to zjawisko niezwykle mylące, lecz jak najbardziej normalne. Ba, niektórzy wręcz twierdzą, że pożądanę.

Oto wychowanek, którego polubiliśmy, któremu zaufaliśmy i w którego zainwestowaliśmy, zaczyna wyraźnie odchodzić od stanu, jaki osiągnął. Zaczynają pojawiać się - jak Filip z konopi - sytuacje trudne i niepożądane.

Początkowo reagowaliśmy wszyscy podobnie, bowiem dawaliśmy odpór rozbrykaniu wychowanka. Potem analizy tego powszechnego niemal zjawiska doprowadziły nas do wniosku, że istnieje tu pewne podobieństwo do okresowych pogorszeń stanu zdrowia przed końcem etapu zdrowienia. Chodziło bowiem o rzecz w sumie niezwykle ważną, bowiem o **weryfikację przez wychowanków akceptacji ich ze strony wybranych wychowawców**. Innymi słowy był to instynktowny niemal test polegający na wybadaniu, czy będzie się odrzuconym zaraz po złym uczynku, czy nieco potem - po kilku takich czynach, a może akceptacja wytrzyma wszelkie próby.

W tym miejscu powinienem wspomnieć o drugiej regule, regule wyjaśniającej, czym jest proces resocjalizacji:

Resocjalizacja polega m.in. na przygotowaniu wychowanka do samodzielnego przeciwstawienia się negatywnym społecznie wartościom, które dotąd uznawał

Nie chodzi więc o to, by kłopotliwego wychowanka przechować czas jakiś, aż osiągnie pełnoletność i będzie go można swobodnie już wsadzać do więzienia. Nie chodzi zatem wcale o to, by w warunkach placówki prowadzić to takie, to owakie zajęcia, które wypełnią pożytecznie czas wychowanka. Nie chodzi nawet o to, by ukarać.

Każdy, kto zaczął popełniać przekroczenia, te zaś zawiodły go przed oblicze osób karzących z mocy przepisów, staje się numerem, trwale - aż do przepisowego wymazania - zapisanym w Kartotece Urzędów i Placówek. Tu z kolei będzie nieustannie poddawany badaniom, obróbce, składowaniu, przenoszeniu, weryfikacji, utylizacji, itp.

Kiedy już to wszystko nastąpi, kiedy już w Szczególnie Ważnym Urzędzie główna księgowka zamknie bilans związany z wydatkami na byłego wychowanka - on sam wraca do ojczyma-pijaka,

matki-bezradnej, brata-recydywisty, kolegów-spragnionych-powrotu-kumpla. W ten sposób bilans nijak nie równoważy się.

Zrównoważenie bilansu może zaistnieć jedynie wtedy, gdy wychowanek jest zdolny, do odrzucenia wartości reprezentowanych przez spatologizowany dom oraz wykolejone środowisko rówieśnicze.

Program uodparniający, to motywowanie do brania odpowiedzialności za siebie już na sali sądowej. Program uodparniający wymaga wychowawców-fachowców i tzw. „urodzonych pedagogów”. Wymaga mało liczebnych grup wychowawczych, by autorytet wychowawcy nie był przeważany z natury silniejszym autorytetem rówieśniczym. To również - prócz dawania możliwości wyboru **kogoś** - tworzenie w placówce warunków najbliższych rzeczywistym, pozapłacówkowym, a więc: samoutrzymania, samostanowienia, samoodpowiedzialności.

Pedagodzy trudzący się na co dzień z problemami resocjalizacji wiedzą, że ich wysiłek jest potrzebny z jednej-jedyniej przyczyny: ktoś wcześniej sprawę zawalił!

Teraz właśnie można to wyraźnie powiedzieć. W jakimś momencie zabrakło rodziców. Zabrakło rodziców świątłych. Zabrakło rodziców cierpliwych. Zabrakło rodziców rozumiejących potrzeby dziecka, zabrakło rodziców, którzy potrafią zrezygnować z zajmowania się wyłącznie swoimi sprawami, zabrakło rodziców odpowiedzialnych. Zabrakło nauczycieli w szkołach - w normalnych szkołach podstawowych - którzy zrezygnowaliby z walki i o swoje punkty u szefa, i o chronione autorytety, i chwile świętego spokoju, którzy potrafiliby być **kimś** dla swoich uczniów.

Zacytuję mego mistrza, którego nazwiska nie będę wspominać: „*Nie ma szkoły wychowującej. Jest szkoła, której czasem nie uda się złamać charakteru ucznia*”.

Aby w życiu wychowawcy mogli pojawiać się częściej wychowankowie, którzy dokonują wyboru kogoś, którzy mogą go zweryfikować, którzy pozytywnie rokują - trzeba im dać szansę, by mogli się ujawniać. Danie szansy, to nie tylko zatrudnianie wychowawców nadających się do tej pracy z racji przygotowania zawodowego (często zresztą w wychowaniu skuteczniejsi okazują ludzie nie kształceni w tym fachu, ale za to reprezentujący właściwą postawę wychowawczą). Danie szansy, to także prawidłowo przygotowana „faza wstępna”, a więc postępowanie sądowe i warunki towarzyszące skierowaniu do niewielkich placówek. Danie szansy, to również sensowne uprofilowanie ośrodków wychowawczych oraz ich rodzime, oryginalne i „uodparniające” systemy wychowawcze. Danie szansy, to dodatkowo postępowanie postplacówkowe. Wszystkie te elementy (tworzące podstawy do tego, by resocjalizacja była skuteczniejsza) można zapewnić poprzez reformę w oświacie. Nie wymaga ona znowu tak wielkich nakładów finansowych, jakby się zdawało. Po uwzględnieniu wszystkich szczegółów, jakie powinny być wzięte pod uwagę przy tworzeniu „nowych placówek”, okazać się powinno, że będą nawet oszczędności. Jedynie czyjaś nieposkromiona megalomania może sprawić niespodzianki w tym względzie.

P.S.

Jeśli kiedykolwiek była szansa na reformę oświaty, to jest teraz. Jest wciąż.